Numer na okaz.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Listy z Rady Państwa

Jakóba z pod Wawelu.

Wiedeń 22 czerwca.

„Chodź do mnie; chodź do mnie, dziecino kochana!
Mam cacka, mam lalki, zabawka mi znana!“

Tak woła król dębów w znanej ci pewnie balladzie poety niemieckiego, którą nasz poeta, Adam Mickiewicz, na polski wiersz przełożył. Te słowa przychodziły mi na myśl przez cały tydzień, bo od przeszłego wtorku aż do dzisiaj nasłuchałem się mów tyle, że aż mnie uszy bolą, a jeden w drugiego do nas Polaków zwracał się mówca i dowodził, żeśmy powinni iść z jego kołem czyli klubem.

Jak ja ci to wszystko opowiem w krótkości, com słuchał przez sześć dni po sześć godzin, tego doprawdy niewiem, bo nie chciałbym, żeby ci się tak przytrafiło przy czytaniu, jak niejednemu posłowi przy słuchaniu, że kiwał głową zdrzemnąwszy się smacznie.

Dawnemi czasy był taki zwyczaj, że gdy się nagromadziły chmury, wtedy ludzie uderzali w dzwony, aby chmury rozegnać, ale tego zwyczaju już teraz zaniechano, bo często burza, odegnana na chwilę, wybuchała potem z większą jeszcze gwałtownością. Tak się prawie stało i w Radzie państwa. Już się gromadziła burza i mowy, jak deszczu potoki, miały lunąć za chwilę, kiedy się miała odbyć rozprawa nad adresem do Cesarza, czyli odpowiedzią na mowę Najj. Pana, ale hr. Taaffe ze Smolką jak zaczęli dzwonić na zgodę, tak adres wpadł we wodę i burza minęła, bez grzmotu i bez deszczu. Wszelako na to nie było sposobu, żeby uniknąć rozprawy nad budżetem, a ta właśnie rozprawa zajęła cały tydzień.

Budżet znaczy tyle co rachunki państwa. Każdy minister musi co rok przed Radą państwa składać rachunki i wyrachować się z każdego krajcara, który wziął i wydal, bo te krajcary płyną do kasy państwa z podatków, które wszyscy poddani opłacają. To też jest najważniejszym obowiązkiem posłów, żeby te rachunki badali i roztrząsali, bo oni muszą przyzwalać na podatki. Bez pozwolenia posłów rząd nie może podatków nałożyć, ani podwyższyć. Dlatego Rada państwa wybiera osobnych posłów do tej trudnej sprawy, a ci posłowie tworzą komisyę budżetową. Oni przez sześć tygodni radzili codzień prawie nad temi rachunkami w osobnej sali, do której ministrowie i urzędnicy ministrów muszą się stawić i ze wszystkiego sprawiać, o co członkowie komisyi się zapytają. Dopiero gdy oni ułożą na nowo rachunki, każą wydrukować i posłom rozdadzą, wtedy zaczną się w Izbie rozprawy nad budżetem, który obejmuje dużą grubą księgę.

Więc naprzód jest rozprawa ogólna, czyli generalna i ona to właśnie sześć dni zajęła, a teraz potrwa jeszcze ze trzy tygodnie rozprawa nad szczegółami rachunków, czyli t. zw. rozprawa specyalna. W tej generalnej rozprawie przemawiało trzydziestu jeden mówców, chociaż — co prawda — o rachunkach państwa, czyli budżecie, mówił tylko krótko nowy minister finansów Dr. *Steinbach* i nasz poseł Szczepanowski.

Nowy minister, który objął skarb państwa po ministrze Dunajewskim, jest bardzo niepozorny człeczyna, ale podobno ma być bardzo mądry. Jedni mówią, że już jego ojciec był ochrzczony, drudzy mówią, że dopiero ten syn jego został chrześcijaninem. Bądź co bądź, na sprawach pieniężnych znać się musi, boby go Cesarz nie był tak ważne stanowisko powołał. On też przyznawał, że mu Dunajewski zostawił w skarbie pieniądze, ale dowodził, że musi dobrze trzymać to, co zostało, żeby się nie rozlazło i żeby znowu nie było braku, czyli *deficytu*, na którą to chorobę skarb austryacki przez pół wieku chorował. Na to nasz poseł p. *Szczepanowski* wypalił mowę, która ni mniej ni więcej tylko trzy godziny trwała. Dowodził zaś, że Dunajewski zostawił nie półtrzecia miliona, tylko jakie sześćdziesiąt milionów przewyżki i że nie sztuka w tem, aby dusić grosz, tylko trzeba temi pieniądzmi dźwigać przemysł, aby ludzie mogli zarabiać, bo przez to skarb jeszcze

wiecej zyska, a ludzie będą chleb mieli i dobrobyt się dźwignie. Mianowicie o Galicyi należałoby pamiętać, bo nasz kraj był po wszystkie czasy po macoszemu traktowany, jakby do państwa wcale nie należał. Zawsze też na nas narzekają, że za mało płacimy podatków, a nie myśleli o tem, żeby nam dopomódz. Nie wiem, czy pan minister weźmie sobie to wszystko do serca, co poseł Szczepanowski mówił, ale słuchał jego mowy przez całe trzy godziny.

Inni mówcy o polityce mówili, ale o rachunkach żaden, bo wszystkim chodziło o to, aby wypowiedzieć swoje przekonania, a jak ci już na wstępie pisałem, wszyscy się kłaniali nam Polakom i ciągnęli do siebie. Nawet Niemcy z lewicy dowodzili, że o Galicyi należy pamiętać i nie zatykać uszu na nasze wołania. Jeden z nich Dr. *Menger* przypomniał nawet, że Polaków srodze teraz uciskają Moskale i że tylko Niemcy nas ratować mogą. Drugi hr. *Wurmbrandt*, który jest marszałkiem Styryi, też słodkie oczy do nas robił i obiecywał złote góry, byleśmy Polacy szli z nimi, bo bez nas Polaków żadne stronnictwo teraz w Radzie państwa nie może mieć większości, więc bez naszej pomocy, żadne nic nie zrobi.

Polacy jednak nie dzieci i na obiecanki już ich nikt nie złapie, więc zaraz pierwszego dnia oświadczył przewodniczący polskiego Koła p. Apolinary *Jaworski*, że skoro prawica, która była dawniej w Radzie państwa, się rozbiła i większości teraz nie masz, to my Polacy będziemy bronić swego i pójdziemy z tymi, którzy nam dopomogą do uzyskania tego, czego nam potrzeba. Wielce się tem krótkiem oświadczeniem ucieszyli Niemcy na lewicy, a ich gazety, które prawie wszystkie są pisane przez wiedeńskich żydków, zadęły w trąby radosne, że nowy czas nastał znowu dla Niemców i że znowu rządzić będą, jak dawniej rządzili, póki Dunajewskiego w rządzie nie było. Ta radość ich urosła jeszcze bardziej, gdy nazajutrz hr. Taaffe oświadczył, że bardzo się cieszy z tego, że Niemcy znowu zaczną pracować dla dobra państwa, a nie będą ślepego oporu stawiali.

Ta radość niemiecka nabawiła strachu inne Koła czyli kluby, i zaraz nazajutrz gdy po prezydencie ministrów hr. Taaffem, przyszła kolej na księcia Schwarzenberga, przyciął nam Polakom, a raczej p. Jaworskiemu. Ten książę *Schwarzenberg* jest młodziutki poseł, bo dopiero teraz został wybrany, niema też wiele więcej nad lat 30. Juścić musi mieć nieźle w głowie, kiedy go nawet przywódcą posłów z Morawy zrobić chcieli, ale jedno widać po nim, że go uczyli dobrzy nauczyciele, ale nie uczyła go nigdy bieda. Bo ten młody książę postawił nogę na krześle, jedną rękę oparł na kolanie, a drugą ciągnął maleńki wąsik pod nosem, że aż strach miałem o to, aby sobie tej ozdoby młodziutkiej twarzy nie wyskubał. Jak taki młodzian urodziwy, wobec starych i posiwiałych posłów, o starym Jaworskim mówił przez ramię, to mógł być pewien, że go nie minie to, czego jako książę za młodu pewnie nie brał t. j. chłosta. Sprawił mu to nasz poseł Dr. Madejski. Jako księcia chłostał delikatnie ale ostro, a wszyscy w Izbie mówili, że takiemu młodemu panu wcale to może wyjść na zdrowie, jeśli go kto tak delikatnie, ale tak doskonale wychłosta.

Bogacze loteryjni.

(Dokończenie.)

Kiedy tak stoi w kurytarzu i rozmyśla, co pocznie ze sobą nieszczęśliwym, patrzy, aż tu ksiądz i dziedzic idą ku niemu, bo byli też na rozprawie i chcieli się przekonać, czy Bruzda jest naprawdę winien. Nie wierzył swoim oczom Bruzda, gdy ich zobaczył. Padł jak długi księdzu do nóg, objął je, całował i mówił z płaczem:

— O jegomościuniu mój złoty, jakim ja nieszczęśliwy! Wybaczcie mi, żem was nie słuchał, kiedy jeszcze czas był. Dzisiaj strasznie pokutuję za to, żem złych ludzi słuchał, żem podejrzywał, iż nieprawdę o loteryi mówicie. O! jegomościuniu złoty! Całe życie pokutował będę za to, żem Jegomości nie posłuchał.

Dał się ksiądz wypłakać nieszczęśliwemu Bruździe — potem go podniósł i przytulił do piersi.

— Uspokójcie się Bruzda. Myśmy nie przyszli wam wyrzutów robić, żeście nas nie posłuchali. Wolna co do posłuchu wola. My przyszliśmy was ratować, jak Bóg i miłość bliźniego przykazuje. Chcecie nam dzisiaj wierzyć?

— Dziś, zawsze i do śmierci. O gdybym was wcześniej posłuchał. Niech przeklęty będzie ten Chrosta!

— Nie przeklinajcie Bruzda. Nie Chrosta wam winien, ale wasza własna słabość. Nie chcieliście od nas prawdy słuchać, bo ona gorzka była. Woleliście tych słuchać, co wam dawali słodką truciznę. Ciężko wam ta trucizna dała się we znaki.. Judzono was, że my ksiądz i dziedzic wasz, złego waszego chcemy, my bracia wasi; my, co chcemy, żebyśmy razem w zgodzie żyjąc, zamożnymi, silnymi, ufającymi sobie byli, na pożytek całego narodu.

— No Bruzda — odezwał się dziedzic — przyszliśmy was zabrać. Jak Bóg przykazał, jak nakazuje miłość braterska tej samej ziemi dzieci, tej samej wiary wyznawców, przyszliśmy wam pomódz szczerem sercem. Wracajcie z nami do wsi...

Tego samego dnia i to zaraz po Schwarzenbergu mówił drugi książę Alojzy *Liechtenstein*, a mówił tak świetnie, tak mądrze, że całą tę jego mowę połykałem chciwie. Chudy jak chart, wiotki jak trzcina, blady jak chusta, jeździ ten książę na koniu jak najlepszy jeździec, trafia z pistoletu na rzut ręki, bije się na pałasze jak najlepszy rębacz. Przytem zna sprawy owej „oikonomii", o której już kilkakrotnie wspominałem, jak mało kto w Izbie, a był do tego czasu przywódcą tych posłów, którzy się wyraźnie nazywają katolikami. Ten klub zwał się nawet klubem Liechtensteina, ale zrobili to głupstwo, że go przywódcą mieć nie chcieli dlatego, że się z mieszczanką ożenił. On teraz utworzył klub osobny, który przezywają *antisemitami*, czyli przeciwnikami żydów. Łatwo też zrozumieć, że niema suchej nitki na tym księciu, tak wszystkie żydki i żydowskie gazety oblewają potokiem słów obelżywych. Jego mowa była wyszlifowana jak brzytwa, błyszcząca jak stalowa klinga damasceńskiej szabli, a nawet jego nieprzyjaciele musieli przyznać, że to mówca, jakich mało. Do tej mowy jeszcze później kiedy wrócę, bo treści w niej jest niezmiernie wiele.

Inna mowa jednak najwięcej wrzawy i największego narobiła gniewu na lewicy t. j. posła Dra *Ebenhocha*, który należy do Koła posłów katolickich. Przezywają ich „klerykalnym" klubem, chociaż to nie żadne kleryki, tylko świeccy ludzie, ale do katolickiej wiary jawnie i otwarcie się przyznają. Więc też wielki krzyk powstał, kiedy ten poseł powiedział te słowa: „między wami liberałami, a nami katolikami jest przepaść niezgłębiona, bo waszem hasłem jest kielnia, a naszem godłem jest krzyż, w którym to znaku jest nasze zwycięstwo i szczęście całej Austryi".

Przez tę kielnią, którą wspomniał, rozumiał, że to jest znak masonów, i oni też to dobrze zrozumieli. Więc huczek powstał niemały, bo oni zawsze przed ludem udają, gdy tego potrzeba, że także są katolikami. O nas Polakach powiedział ten poseł, że Polacy, którzy pod Wiedniem uratowali krzyż przed przemocą półksiężyca tureckiego, nigdy krzyża nie odstąpią. I dobrze powiedział, bo w całej tej rozprawie Polacy ponownie to stwierdzili, a jeneralny sprawozdawca, poseł Dr. Biliński, który ostatni dzisiaj mówił, jeszcze raz zapewnił, że w sprawach religijnych nigdy Polacy nie opuszczą tych, którzy siedzą po prawicy.

Te rozprawy skończyły się więc lepiej niż myślałem. Lewica pociesza się nadzieją, ale prawica pociesza się pewnością, że Polacy nie opuszczą dotychczasowych swoich sprzymierzeńców. O religii i o szkole, nie miało być wcale przez sześć lat mowy, a tymczasem mówiono o tem więcej, niż po inne lata. Pokazało się więc ponownie, że to, co jest najdroższe ludowi, nie da się zagłuszyć milczeniem.

Tem się tylko różni Rada państwa tego roku od innych lat, że dziś gdy skończyli swe mowy obaj mówcy generalni i sprawozdawca generalny, wszyscy na prawicy i na lewicy za tem głosowali, żeby budżet uznać, przyznać i przyjąć. Po inne lata zawsze głosowała lewica przeciwko temu. Może też naprawdę będzie tak lepiej, że nikt nie chce stawać przeciwko rządowi. bo i nam może prędzej się uda coś zyskać dla kraju.

Jakób z pod Wawelu.

Nie dokończył dziedzic tych słów, a przybiegła żona i dzieci Bruzdy i otoczyły ojca, trzęsąc się od płaczu, witając się z nim, rzucając mu się do piersi i rąk.

— I wy na mnie się nie gniewacie, żono moja, dzieci wy moje, com wam tyle złego mojem zaślepieniem zrobił.

— Mój mężu, jegomość i dziedzic czuwali nad nami — oni nas nauczyli, że przeklinać cię nie powinniśmy, boś ty był bardzo nieszczęśliwy.

— Dzieci, żono moja, jegomościuniu, panie dziedzicu — mówił Bruzda, na więcej zdobyć się nie mogąc.

— Kemu w drogę, temu czas — odezwał się ksiądz — wracajmy do wsi z tym Bruzdą, jaki był przedtem, nim w loteryę grać zaczął. Nie traćmy czasu, dużo Bruzda ma do odrobienia!

Mieli ruszyć, ale Bruzda się zatrzymał jeszcze, sięgnął ręką w zanadrze i wyjął jakąś zatłuszczoną, zasmarowaną książeczkę. Był to ów sennik, który mu niegdyś Chrosta z Krakowa przywiózł.

— Nim ten gmach opuszczę, nim wyjdę na świat między ludzi — rzekł Bruzda, trzymając sennik w ręce — jednę rzecz zrobić muszę, muszę zniszczyć ten oto sennik, który się do mojego nieszczęścia przyczynił. Piekłby on mnie w ręce — przypominał mój straszny upadek, moją hańbę! Niech ginie marnie! Niech przepada!

I chciał Bruzda w drobne kawałki targać nieszczęsny sennik.

— Dajcie pokój — odezwał się dziedzic — sennika nie targajcie. Zachowajcie go raczej, jako ostrzeżenie — niech będzie dla was i dla innych żywym świadkiem, ile wam złego wyrządził. Patrzcie nań zawsze z nienawiścią i odrazą — tej odrazy do niego uczcie dzieci i bliznich. Mówcie im, żeby od takiej książki stronili wszyscy, a brali do ręki inne, które prawdziwi przyjaciele wasi drukują. Niech od chaty do chaty idą te słowa i rozejdą się po całej ziemi naszej, na pożytek ludu polskiego. Nie senników wam trzeba, ale prawdziwej oświaty, a wtedy i loterya nie będzie tyle nieszczęścia sprawiała, gdy ludzie na oczy przejrzą.

— Amen! — dodał ksiądz.

O Ministrach.

Każdy gospodarz wie o tem, że nikt wszystkiego sam nie może robić, i że jedne czynności musi podjąć mężczyzna, jak kośba, młócenie, oranie, a inne pełnią kobiety, jak chodzenie około udoju; kiedy paszenie bydła czy gęsi jako praca lekka powierza się dzieciom. W większem gospodarstwie ten podział pracy idzie dalej, bo tam nastaje już różnica pomiędzy robotnikami i tymi co ich dozorują albo pilnują pewnego działu gospodarstwa. Ztąd na folwarku większym gospodarz sam ani orze ani sieje, tylko pilnuje roboty innych, mając do pomocy ekonoma, pisarza, karbowego i polowych. Na jeszcze większem gospodarstwie, do którego należy kilka czy kilkanaście folwarków, bywa daleko więcej tych pisarzy i ekonomów, nad nimi stoją rządcy, a praca tak się dzieli, że jedni pilnują tylko pola, inni lasów, bywają osobni ludzie do pilnowania stajen i hodowli bydła, owczarze do owiec, i znowu jeden z pisarzy zajmuje się kasą, inni prowadzą rachunki, a jak jest gorzelnia, browar czy inna fabryka, to nią zarządza osobny dyrektor. Słowem, w takiem dużem gospodarstwie jest bardzo wielu urzędników, którzy mają odmienne zajęcia i obowiązki.

Cały ten podział pracy polega na tem, że nie można robić wszystkiego jednemu człowiekowi, ani jeden nie może wszystkiego umieć. Kobieta niema tyle sił, aby mogła kosić lub młócić cepem; mężczyzna niema tej cierpliwości, aby mógł chodzić około krów, albo kolo kuchni, czy dzieci. Wreszcie jak mężczyzna cięższe roboty robi, to te drugie lżejsze powinna wziąć białogłowa na siebie. Podstawą więc podziału pracy jest to, co każdej płci jest stosowne ze względu na siły, jakie jej Pan Bóg udzielił. W większem gospodarstwie także praca dzieli się według tego, co człowiek może zrobić, co lepiej umie, do czego zdatniejszy. Jeden dobrze rachuje, prędko i nie myli się, może być rachmistrzem, zapisywać wydatki i przychody gospodarstwa większego, albo stać przy kasie i wypłacać co się komu należy. Inny wyuczył się gospodarować w lesie, albo wyrabiać wódkę, lub piwo, to zostanie leśniczym, albo gorzelanym, czy piwowarem. Ten skończył szkołę rolniczą, może być dobrym ekonomem lub rządcą. A jak każdy będzie to robił, czego się nauczył i co robi najlepiej, to gospodarstwo pójdzie dobrze, bo ten, co umie dobrze około jakiejś gałęzi gospodarstwa pracować, potrafi najlepiej zarządzić, aby mieć obfity plon i ziemi nie wyniszczyć.

Otóż państwo to jest także takie wielkie gospodarstwo, obszar jego rozciąga się na wiele krajów, panuje ono nad milionami mieszkańców, a czynność jego tak różnorodna, że nietylko musi mieć wielu urzędników, ale te urzęda muszą być podzielone w taki sposób, aby i każdy urzędnik wiedział jasno, co ma prawo robić, co do niego należy, i każdy obywatel żeby nie chodził napróżno od jednego urzędu do drugiego, ale żeby mógł wiedzieć łatwo do kogo i gdzie ma się udać w jakim interesie.

Najpierw zatem urzęda dzielą się na różne rodzaje według rodzaju czynności, jakie mają załatwiać. I tak jedne urzęda są postanowione po to, aby zajmowały się

Niedługo potem do wioski toczyły się dwa wózki. Na jednym siedział ksiądz i dziedzic, na drugim Bruzda z dziećmi i żoną, niewierzący, że to wszystko prawda, że to nie sen złudny.

Wieczór zapadał wiosenny, pogodny. W polach pachło od młodej zieleni, od tych parowań, co na wiosnę z ziemi idą, a które odmładzają człowieka. Bruzda wciągał pełną piersią te zapachy, rozglądał się po polach i chciałby jak najprędzej dużo znów mieć tej ziemi, którą nieopatrznie utracił. Im bliżej wsi było, tem go jakiś lęk większy ogarniał, serce mocniej się w piersiach tłukło — nie chciał widzieć utraconych zagonów swej ziemi, na których tyle lat pracował, które swoją stopą zdeptał i potem zlał tak, że grudki nie było, na którąby kropla jego potu nie padła.

Zatrzymał się pierwszy wózek. Wysiedli ksiądz i dziedzic i chcieli pójść drogą do wsi, ażeby towarzyszyć Bruździe w tem trudnem przejściu, żeby ludzie przed chatami stojący widzieli, iż Bruzda razem z nimi wraca, więc na szacunek zasługuje. Odczuł to Bruzda.

Tuż przed wsią była figura Ukrzyżowanego Chrystusa. Z krzyża patrzał Zbawiciel na drogę, którą teraz oni szli do wsi. Bruzda zatrzymał się pod figurą, od Boga chciał zacząć nowe życie, więc wzruszony padł u stóp krzyża i modlił się głośno:

— Jezu, któryś cierpiał za nas rany, Jezu przebacz, zmiłuj się, ulituj nad nieszczęśliwym, błogosław na dalsze życie. Potem mówił Ojcze nasz i Zdrowaś i bił czołem o podnóże krzyża.

Klęczeli przy Bruździe ksiądz i dziedzic — klęczała żona i dzieci, poklękali ludzie, co przechodzili. Modlili się wszyscy za nieszczęśliwego... wszyscy razem, tak jak w złej i dobrej doli stoją ze sobą razem, tak jak braćmi Bóg ich stworzył. Oby tak ludzie na całej polskiej ziemi czuli się jednymi.

Cóż dalej mówić — Bruździe ksiądz i dziedzic odstąpili na początek dwa morgi gruntu na spłaty dogodne na lat kilka, pomogli dom wybudować. Bruzda wziął się do pracy, jest dziś najlepszym gospodarzem, owe dwa morgi spłacił i dokupił sobie dwa nowe. Ma

wojskiem, drugie są dla rolnictwa, inne dla spraw handlowych i przemysłowych, znowu inne zajmują się sprawami szkół, osobne są urzęda do tego, aby do nich udawać się jak kto czuje się pokrzywdzonym w swojem prawie, to są sądy — one też są czynne jeżeli kto dopuści się sam nadużycia i karzą go. Państwo potrzebuje pieniędzy i wybiera od ludzi podatki i opłaty najróżnorodniejsze, a do tego posiada osobny rodzaj urzędów. Wreszcie najważniejsze zadanie w państwie jest utrzymać porządek, bezpieczeństwo i spokój, do czego znowu posiada odrębne organa.

Te osobne zadania państwa, powierzone tym odmiennym organom, muszą tak być urządzone, aby była pewność, że te urzęda będą czynne, z tego powodu każda osobna gałęź urzędów ma swego naczelnika, który nazywa się ministrem. Minister jest więc najstarszy z pomiędzy urzędników, nad nimi przełożony, niby wójt nad gromadą. Każdy minister ma swoich urzędników, sobie podległych, a jest ich tylu, ile osobnych rodzajów urzędów w państwie. Jest więc minister, który zajmuje się wojskiem, a w Austryi jest ich nawet dwóch, bo jeden dla wojska minister wojny, a drugi dla obrony krajowej, czyli jak z niemiecka pospolicie mówią dla landwery, minister obrony krajowej. Jest dalej osobny minister rolnictwa, minister handlu, minister co stoi nad szkołami, a że oświatą zajmuje się, zwany ministrem oświecenia. Nad sądami stoi minister sprawiedliwości, ale on tylko pilnuje porządku w sądach, nie miesza się zaś wcale do tego, jak sądy sądzą sprawy, bo sądom nikt nie może nakazać, jak mają sądzić, sądy słuchać mają tylko Boga i sumienia przy wymiarze sprawiedliwości. Do zarządzania podatkami i opłatami są urzęda finansowe albo skarbowe, na których czele stoi minister skarbu i wreszcie pilnowanie porządku w krajach należy do władz podległych ministrowi spraw wewnętrznych. A nadto jeszcze do porozumiewania się z obcemi państwami jak z sąsiedniemi krajami, z Niemcami, z Rosyą, albo z dalszemi jak z Francyą czy z Ameryką jest osobny minister spraw zagranicznych niby dlatego, że on z zagranicznemi krajami wchodzi w stosunki.

Na podstawie układu z Węgrami, Austrya i Węgry mają jedno wojsko — razem więc także utrzymują ministra wojny, oba te państwa mają razem ministra spraw zagranicznych i jednego wspólnego ministra skarbu. Ci więc trzej ministrowie zwią się wspólnymi ministrami, bo są wspólnie przez Austryę i Węgry utrzymywani. Inni siedmiu ministrowie są austryaccy, to jest jak widzieliśmy minister obrony krajowej, minister rolnictwa, handlu, oświecenia, minister sprawiedliwości, austryacki minister skarbu i minister spraw wewnętrznych. Prócz tego są jeszcze dwaj ministrowie, którzy mają czuwać jeden nad interesami Galicyi, drugi nad interesami krajów czeskich, jako największych krajów austryackich.

Każdy z ministrów zarządza w tym zakresie administracyi, jaki mu powierzono, a dają mu te sprawy, na których on lepiej od innych może się rozumieć, bo w tym zawodzie pracował, uczył się i posiada znajomość tych spraw. Ponieważ minister zna się na pewnych sprawach, a zatem w swoim zarządzie czy to sądowym, czy skarbowym, czy rolniczym, albo innym wy-

---

ich więc cztery. Może się jeszcze dorobi więcej, co daj Panie Boże!

Teraz na zakończenie słów parę o tych ludziach, cośmy się z niemi w opowiadaniu poznali.

Jadzińska, jak wyszła z kryminału, puściła się na żebraninę i z żebranego grosza próbowała jeszcze na loteryi szczęścia, z żebranego grosza oddawała się pijaństwu. Mieszkała w lichej komórce pod schodami u żyda i tam ją też wśród ciężkiej zimy znaleziono raz przemarzniętą. Pochowano nieszczęsną kobietę. W komórce znaleziono po śmierci kufer — myślano, że tam jakie skarby. Kufer pełny był kartek loteryjnych. Taki zostawiła majątek. W tych kartkach streszczały się wszystkie nieszczęścia jej życia.

Chrosta teraz zdaleka obchodzi Bruzdę, tego zawsze dłonie świędzą, gdy Chrostę widzi i sennik egipski sobie przypomni.

On mi to sam Bruzda opowiedział tę historyę, co ją tu spisałem na przestrogę dla innych. Pokazywał mi też Bruzda ów sennik, co mu tyle nieszczęścia sprawił. Tylu ludziom starczył za przykład odstraszający ten sennik i sam żywy Bruzda, że dziś naokoło ludzie na loteryę nie stawiają i lepiej się mają. Nawet mówią: wyszedł, jak Jadzińska na loteryi, gdy kto przez swój nierozum głupstwo zrobi. Ale, choć tam niema ani jednego sennika w tej okolicy, tylko ten przeklęty u Bruzdy, na odstraszanie ludzi, to za to jest dużo Czytelni, dużo Kółek rolniczych, dużo sklepików chrześcijańskich. Żeby to wszędzie tak było...

Józef Hopcas.

daje zarządzenia i nakazuje, co ma się robić. Minister dużo może, bo on jest najstarszym z pomiędzy urzędników. Niższe władze muszą słuchać rozkazów ministra, a jak który z obywateli niekontent z tego, co zarządzi władza, może odwołać się do ministra i tam szukać pomocy.

Minister wskazuje, co ma się dziać, n. p. budowa dróg rządowych i mostów zależy od ministra spraw wewnętrznych, on więc może nakazać budowę i od niego zależy, jaka droga będzie budowana. Minister oświecenia zarząda szkołami, a więc on zakłada nowe gimnazya, wybiera dla nich miejsca, on zajmuje się tem, co dla szkół potrzeba. Minister znowu sprawiedliwości zezwala na założenie nowych sądów, na budowę więzienia czy gmachu sądowego. Od ministra rolnictwa zależy, jakie i gdzie rozdać subwencye na chów inwentarza, gdzie ustanowić stacye ogierów albo buhajów. Chociaż każdy z ministrów ma swoich podwładnych urzędników, albo posługuje się urzędnikami innego ministerstwa, lub jak właśnie minister rolnictwa towarzystwami rolniczemi, to jednak najważniejsze zarządzenia pochodzą wprost od niego.

Ministrów mianuje cesarz i on im daje dymisyę wtedy kiedy chce. Cesarz bowiem ma najwyższą władzę i ministrowie składają przysięgę na wierność cesarzowi. Ministrowie bowiem mają cesarzowi doradzać w jego rządzeniu i winni mu dawać rady według najlepszej woli i wiedzy. Są oni doradcami cesarza, a cecesarz ma zupełną swobodę w wyborze swoich doradców i prawo zmieniania ich.

Posłuszeństwo ministrowie winni także cesarzowi, jak każdy obywatel państwa, ale ministrowie mają tu odrębne stanowisko. Oni muszą działać zgodnie z ustawami, muszą doradzać tylko w tych granicach, jak pozwala konstytucya i są za to odpowiedzialni. Ministrowie rządzą też według swoich przekonań i nie powinni na nic zgodzić się, coby było wbrew ich przekonaniom. Gdyby koledzy od nich tego żądali, to ministrowie mogą podać się do dymisyi. Tak samo też i w posłuszeństwie dla cesarza ministrowie nie są obowiązani bezwarunkowo wykonać to, co im cesarz poleci, lecz gdyby sądzili, że to może wyjść na szkodę państwa, są obowiązani odradzać cesarzowi, a ostatecznie prosić, aby ich uwolnił, to jest aby im dał dymisyę.

Dawniej ministrowie byli zależni tylko od cesarza, ale teraz są oni zależni i od Rady państwa. Posłowie w Radzie państwa mogą ministrów pytać o każde zarządzenie, mogą od nich żądać tłómaczenia, mogą im dawać nagany, a gdyby ministrowie dopuścili się jakiego nadużycia, mogą ich postawić przed sąd tak zwany trybunał stanu, który, gdyby uznał ministra winnym, może go zaraz pozbawić urzędu: a jeśli trybunał usunie, to go nawet cesarz nie może ułaskawić.

Z powyższego widzimy zatem, że ministrowie są to najwyżsi w państwie urzędnicy, z których każdy ma wyznaczone sobie pewne czynności, któremi zajmuje się, któremi kieruje, wskazując niższym władzom: co i jak mają robić. Minister przytem jest w rzeczach politycznych doradcą cesarza i najważniejsze sprawy rozstrzygają się na posiedzeniach rady ministrów pod przewodnictwem cesarza. Tam zapadają postanowienia co do ustaw, jakie trzeba przeprowadzać, co do ważnych spraw jak budowy kolei, jak postanowień dla urzędników i wiele innych. Do ministrów udawać się musimy we wszystkich potrzebach kraju, bo od ich decyzyi zależy to, co ma być zarządzone. Jednak i minister nie jest wszechwładnym panem i jego kontrolują posłowie w Radzie państwa, on im musi tłómaczyć się ze swego postępowania i może być przez nich pociągnięty do odpowiedzialności, można go przez wyrok sądowy usunąć z urzędu, a gdyby kogo skrzywdził, skazać na zwrot szkody wyrządzonej.

Ponieważ od ministra tak wiele zależy, co dzieje się w kraju, jest więc rzeczą bardzo ważną, abyśmy między ministrami mieli takich, co dobrze znają nasz kraj i jego potrzeby, bo wtedy możemy mieć nadzieję, że nasze życzenia w miarę możności będą zaspokojone. Dlatego to posłowie nasi taką przywiązują wagę do tego, aby pomiędzy ministrami znajdowali się Polacy. Do niedawna mieliśmy też dwóch Polaków w ministerstwie, a teraz znowu jest tylko jeden minister Polak, może jednak cesarz niedługo powoła drugiego Polaka do swojej rady.

O gospodarności w obrębie gminy

opowiedział

Kazimierz Langie.

I. Biedna wieś.

Nad jedną z większych rzek w Galicyi, prawie w środku kraju leży wieś Dąbrówka. Osady liczy blisko sto chat, ludności z górą pół tysiąca; ornej ziemi sami włościanie posiadają 800 morgów, a oprócz tego 30 morgów niezłych łąk i 342 morgi pastwisk. Przez środek błonia przepływa potok, niedaleko ztamtąd wpadający do rzeki. Kościół i karczma jak zwyczaj w środku wsi.

Pomimo że ziemia niezgorsza, w połowie gliniasta a w połowie piaskowa, pomimo pastwisk tak obszernych, pomimo położenia wsi dobrego — nie było w tem siole szczęścia.

Potok, który gdzieindziej na korzyść swoją obróciliby ludzie, tu klęską był prawdziwą: co roku, raz gdy śniegi w górach topniały, a drugi raz około św. Jana, występowała woda z jego niskich brzegów i zatapiała nie-

tylko pastwisko całe, ale i łąki i pól niżej położonych kawałki. Siano prawie corocznie zamulone, nie szło na zdrowie bydlętom, a wyziewy z zabagnionych błoni szkodziły ludziom. Febra nie wychodziła ze wsi, a i cholera kilka razy straszne w niej spustoszenie sprawiła.

Do niezdrowia ludności przyczyniały się też i mieszkania niezdrowe. Chaty niskie, wilgotne, zaduszne i dymne; zamiast okien dziury małe, jedną szybą niedbale zatkane; jedna izba o wiecznie wilgotnej, glinianej podłodze, służyła za schronienie całej gospodarza rodzinie — zaraz obok chlew z krowami, cielęciem i wieprzkiem — a z drugiej strony komora ciemna i zimna, w której statki chowano. Gdy zima była twarda, a ciepło z komina nie wystarczało na ogrzanie izby, wprowadzano do niej na noc krowę, by oddechem swoim powietrze w izbie ogrzała. I nie pomyśleli ci ludzie biedni, że wraz z tą ciepła odrobiną wprowadzali do mieszkania truciznę, która zabijała im dzieci — a nie było nikogo, coby ich w tem oświecił i przed niebezpieczeństwem przestrzegł... Pod tapczanem, na którym rodzina cała sypiała, trzymano jeszcze kartofle zesypane, które grzejąc się tamże i gnijąc, drugą truciznę do płuc śpiących ludzi wnosiły. Trzecią trucizną był dym, unoszący się kłębami pod pułapem izby, i gryzący w oczy każdego, kto się do niego nie przyzwyczaił.

To też mało było ludzi zdrowych w Dąbrówce, a dzieci to już po kilkadziesiąt umierało co wiosny. Ksiądz proboszcz przy okazyi częstych pogrzebów, zwracał uwagę gospodarzy na szkodliwość zaduchy w mieszkaniach, radził kominy wysokie i piece lepsze stawiać, a okna większe podawać — ale słuchać tych rad mądrych nikt nie chciał. — „A zkądby człowiek biedny opału nastarczył“ — odpowiadali jedni. — „Po co nam tam nowe wymysły“ — dopowiadali drudzy. — „Ojcowie nasi w takich się chatach porodzili i nas wychowali, to i naszym dzieciom lepszych nie potrzeba“.

Nie lepiej jak ze zdrowiem ludzi, było też i ze zdrowiem zwierząt w tej wiosce. Na pastwisko goniono razem wszystko, co było we wsi: konie, krowy, owce, świnie i gęsi. Choć wiadomo przecież ludziom doświadczonym, że koń chorzeje długo, jeśli pierze gęsie połknie przypadkiem z trawą — że swinie zdychają od wąchania gnoju i potu końskiego — że gdzie owca trawę wyskubie, tam niema już po co schylić się krowa — a gdzie gęsi nałajnią, tam wcale już trawa nie rośnie. Choć wiedzieli to wszystko ludzie starsi, nikomu na myśl nie przyszło coś w tem odmienić. Gdy większość błonia wodą zalana była, po suchszych pagórkach w gromadę zbite wszystkie te zwierzęta, jedne drugim szkodziły, ale najeść się do syta żadne nie mogło. Gdy woda opadła a zostało po niej błoto, to znowu wszystkie zwierzęta misiły je nogami jakby ciasto w nieckach i zadeptywały każdą trawkę młodą, wyłażącą z ziemi...

Inne wsie zazdrościły Dąbrowianom tych pastwisk obszernych, a oni z nich pożytku rzetelnego nie mieli. Bywały tygodnie takie, że paszy na nich jest w bród, i wtedy poodgryzały się trochę biedne wygłodzone bydlęta. Po tych jednak nadchodziły dnie biedy, już to z posuchą długotrwałą, już ze slotą i zalewem. Najgorsza bieda zaczynała się z porą zimową, bo siana z łąk było bardzo niewiele, i to po większej części zamulone i kwaśne. Samą słomą prawie żyły bydlęta przez ośm zimowych miesięcy, ale i tej słomy brak czasem bywał wielki — tak, że często już w lutym i w marcu, nim jaka trawka pokazała się z pod śniegu, potrzeba było bydło gnać na błonie, żeby w chlewie z głodu nie zdechło.

Takie też i było to bydło: konięta drobne i słabe, gdy wiosna nastała, po czworo zaprzęgając, pługa pociągnąć nie mogły. Krowy jak haki chude, kości skórą powleczone tylko, nierzadko drągami w chlewie dźwigać było potrzeba. Ledwie że duch się w nich przekołatał do wiosny, a gdzieżby jeszcze o dojeniu ich myśleć. Świniom to jeszcze najlepiej powodziło się przez zimę, jeżeli którego roku zarodziły kartofle, a źle zachowane gniły w izbie lub w dole. Ale i tym urywało się często, i co nabrały trochę mięsa na siebie przez 4 miesiące, to potem w ciągu kilku tygodni postu pochudły znowu jak szczypy, — więc uprzedzając by się nie zmarnowały, jak najprędzej, za cobądź, w miasteczku sprzedać je trzeba było.

Nielepiej jak w chałupie i w chlewie, działo się też i w polu. Już mówiliśmy, jak słaby bywał każdej wiosny zaprzęg. Nie mogąc rady dać samemu, sprzęgali się gospodarze niektórzy po dwóch i trzech do pługa. Jedni chcąc opóźnienia uniknąć, orali ziemię swoją za wcześnie, nim z wilgoci zimowej obsiąkła. Wjeżdżali z pługiem w błoto, siali i błotem zasmarowywali nasienie, i dlatego nie rodziło im się. Inni, co się mieli za mądrzejszych i czekali obeschnięcia roli, nie mogli w porę dostać pomocy od sąsiadów — więc znowu zapóźniali się z siejbą, i znowuż dlatego niewiele z niej zbierali.

Od źle żywionych bydląt nawozu było mało — a i ta odrobina marniała jeszcze w większej połowie, przez niedbalstwo lub nieświadomość ludzką. W zimie, jak długo tylko można było, nie wyrzucali ludzie nawozu z pod bydląt dlatego, żeby cieplej było w chlewie. Ale że ścielić nie było czem, bo słoma na paszę nie wystarczała, więc gnój się palił pod bydłem i ubywało go z połowa. Gdy już się przepełniło się w chlewie tak, że krowy rogami dotykały pułapu, a więc koniecznie już część gnoju wyrzucić z chlewu trzeba było — wyrzucano go na podwórko, albo do dołu wykopanego opodal, albo na kupę pod okapem dachu. Woda deszczowa, tak tu jak tam, wypłukiwała z nawozu wszystko co najlepsze — i całe strumyki posoki czarnej płynęły z gnojowisk tych na pastwisko, a ztamtąd do rzeki. Aż gdy pora nadeszła wywożenia nawozu

w pole: woziło się słomsko chude, wodą wymyte a wiatrem wysuszone, albo znowu błoto jałowe ociekające z fury przez całą drogę. Oczywiście że nigdy gnoju takiego na większy pola kawał nie wystarczyło — a i ten co wywieziony, niewielkim był dla wyjałowionej ziemi posiłkiem.

Utrzymywał się też w Dąbrówce zwyczaj stary a niemądry: że gnój wywożony składano na polu w małe kupki, które nierozrzucone po miesiącu i dłużej niekiedy leżały. I znowu tutaj płukał je deszcz i wysuszały wichry — a gdy przyszło do rozrzucania, to litą słomę i jak trzaska powysychane łajniaki, roztrząsałeś widłami. Co tylko było tłuściejszego w tym gnoju, to albo popłynęło gdzieś z wodą deszczową z pochyłego pola, albo wsiąkło w to jedno miejsce, na którem kupka leżała. Tak też i zboże potem, kupkami rzadkiemi tylko na tem polu rosło.

W dodatku do tego wszystkiego, lenistwo dziwne jakieś opanowało wszystkich ludzi w tej wiosce. Dzieci bose, na pół nagie, gromadkami całemi uganiały się się za źróbkami po pastwisku. Dziewki i parobcy nasłuchiwali tylko, czy muzyki jakiej nie słychać w karczmie. Kobiety starsze biegały co tydzień do miasteczka odległego o milę, umiejąc zawsze upozorować zręcznie konieczność tej bieganiny: to po soli szczyptę, to po sadło zajęcze na lekarstwo, to do tkacza któremu motki dały, to do szewca po buty — a zawsze pod zapaską ukryły coś przed mężem, co na sprzedaż do miasteczka wynosiły: albo przędziwa garstkę, albo kurę, albo prosa kwartę, albo choć kilka jaj... Gospodarze znowu, jak zima długa, od zmierzchu do późnej nocy przesiadywali w karczmie. Gdzieniektóry to i przespał się tam noc całą gdy był trunkiem zmożony i dopiero nad ranem do chałupy powracał. Tam to wśród gawędy sąsiedzkiej przy kieliszku, wszczynały się zazwyczaj kłótnie i spory sąsiedzkie. Tam zaprzepaszczały się sumienia ludzkie i zatracała się godność człowiecza — boć wiadomo, że człowiek pijany gorszym nieraz od nierozumnego bydlęcia się staje! Tam nieprzytomnemu człeku dopisywał niesumienny szynkarz kieliszki i półkwaterki jakoby wypite, po dwa mu za jeden rachując. Tam od wódki na kredyt pitej, rozpoczynał się ten długi szereg długów, które później lichwiarskiemi procentami zwiększone, doprowadzały gospodarzy do ostatecznej ruiny, do nędzy, i z ziemi z ojcowizny wydziedziczyć ich miały.

A już jarmarku żadnego w okolicznych miasteczkach nie opuścił Dąbrowianin żaden — i znani oni tam byli wszyscy z kłótliwości, próżniactwa, pijaństwa i z interesów nieuczciwych, jakie często robili.

Tak wyglądała wieś Dąbrówka przed laty może czterdziestu. I szeroko na okolicę całą rozeszła się smutna tej wsi sława. Zapytać tylko było: Gdzie największa bieda? — Odpowiadano: w Dąbrówce. Gdzie próżniactwo największe? — w Dąbrówce. Gdzie pijaków najwięcej? — w Dąbrówce. Gdzie pola najmniej rodzą? — w Dąbrówce. Gdzie drogi zawsze najgorsze? gdzie kłótnie sąsiedzkie, gdzie kradzieże najczęstsze, gdzie procesów najwięcej, gdzie egzekucye podatkowe najczęstsze? — zawsze wszystko w Dąbrówce.

Nic dziwnego, że do takiej wsi najchętniej przybywali ajenci niesumienni, którym płacono za to, by ludzi bałamucili, bogactwa bez pracy im obiecywali, a w rzeczywistości do bardzo ciężkiej pracy niewolników amerykańskim spekulantom werbowali. I nie było też roku ani jednego, żeby dwóch lub trzech próżniaków w Dąbrówce nie dało się ajentowi takiemu zbałamucić. Marnowali za pół darmo sprzedając krwawą pracę swych ojców, oddawali siebie i dzieci swoje na usługi ajentowi niepoczciwemu, który nietylko że przez drogę pieniądze wszystkie jakie mieli od nich wyłudził, — ale jeszcze potem w kraju dalekim zamorskim biednych ludzi tych na całe życie innym ludziom bezbożnym w niewolę zaprzedawał.

I najczęściej słuch ginął we wsi o tych zaprzedanych ludziach. Nikt we wsi nie wiedział, co się tam z nimi działo. Niekiedy tylko po latach przyszedł do nich list, w którym opisywali swoją biedę i swoje nieszczęścia. To znowu czasami ajenci chcąc więcej łatwowiernych dla zysku swojego nałapać, fałszywe listy jakoby od tych emigrantów do swojaków we wsi przysyłali, chwaląc kłamliwie, że im się bardzo dobrze w Ameryce powodzi. Czasem i pieniędzy trochę do listów takich wkładano na dowód, że tam o bogactwo nie trudno — i znowu na takie listy oszukańcze dali się we wsi nowi głupi ludzie brać, i znowu ajentom na niewolę prowadzić się dawali... A wieś polska, jak była biedna, tak ubożała jeszcze bardziej przez to wychodźtwo ludzi z niej; i przez sprzedawanie ziemi ojczystej obcym handlarzom, którzy frymarczyli nią dalej, nic o dobro ni ziemi tej ni gminy całej nie dbając.

Wiadomości polityczne.

Z Koła polskiego.

Koło polskie obradowało 22 i 24 czerwca. Naradzało się mianowicie nad tem, jak się zachować i co mówić przy naradach nad budżetem ministerstwa skarbu. Polecono dwom komisyom Koła, aby się zastanowiły nad wnioskami o ulgach w podatku zarobkowym, i czyby nie można postawić wniosku uwolnienia rzemiosł i drobnego przemysłu od podatku zarobkowego w pierwszych latach istnienia. Komisye te mają dalej rozpatrywać sprawę podatku domowego i gruntowego i jeżeli uznają to za możebne przygotować wnioski co do obniżenia podatku domowego od zabudowań wiejskich

i obniżenia stopy podatkowej w podatku gruntowym z drobnych parcel gruntowych. Prócz tego polecono posłom, którzy przemawiać będą, aby żądali zniżenia podatku gruntowego, sprzedaży taniej soli dla bydła itd. Ponieważ bardzo wiele jeszcze innych spraw poruszono, przeto Koło miało w dniu 30 czerwca jeszcze raz radzić, co i jak mówić przy uchwalaniu budżetu ministerstwa skarbu.

Austrya. Deputowany młodoczeski Vaszaty przy rozprawach budżetowych wyrwał się, jak to mówią, „jak Filip z Konopi“ i plótł koszałki opałki o tem, że Austrya nie powinna łączyć się z Niemcami i Włochami, ale z Rosyą, która mu się ogromnie podoba i którą też bardzo chwalił. Tak się biedakowi pomieszało w głowie, że odwiedziny carewicza rosyjskiego w Wiedniu nazwał najjaśniejszym promieniem i największym wypadkiem politycznym. Radził później, aby Austrya uznała, że Konstantynopol powinien należeć do Rosyi, to jest żeby pozwoliła Rosyi zabrać resztę Turcyi europejskiej, a przez posiadanie Konstantynopola stać się panią morza Czarnego. Takie to głupstwa wypowiadał ów Vaszaty, a trudno się było na niego gniewać, bo widocznie biedaczysko jest niespełna rozumu. To też kilku posłów, a między innymi i nasz poseł Biliński wyśmiali jak należy Vaszatego. Nawet jego przyjaciele Młodoczesi tak się zawstydzili jego mową, że zaprzeczyli jakoby się zgadzali na jego zapatrywania, a nawet podobno chcą poprosić tego pana, aby się z ich grona wypisał.

Na posiedzeniu w dniu 25 czerwca poseł Rutowski przemawiał za regulacyą rzek galicyjskich (o czem niedawno w *Krakusie* pisaliśmy) i za przymusowem zabezpieczeniem od ognia, ale pod tym jedynie warunkiem, że będzie wolno wybierać sobie takie Towarzystwa ubezpieczeń, jakie ubezpieczającym się najlepiej odpowiadają.

Na posiedzeniu 1-go lipca pan minister oświaty Gautsch w mowie swojej wspomniał o szkołach galicyjskich, pochwalił nasz kraj, że się stara o szkoły i zapewnił, że ze swej strony wszystko, co będzie mógł, zrobi, aby szkołom galicyjskim pomagać.

Na posiedzeniu 2-go lipca poseł Piniński przemawiał między innemi za oddaniem duchowieństwu wpływu większego na szkoły ludowe.

Niemcy. Książę Bismark sprawia ciągle Niemcom wielkie kłopoty. Ma on jeszcze dotąd przyjaciół, i to między tymi, co gazety piszą, a że bardzo bogaty, może też płacić tym redaktorom, którzy bronią jego polityki i przyganiają wszystkiemu, co dzisiejszy rząd robi. Do takich gazet należą *Hamburger Nachrichten.* To pismo uchodzi powszechnie za organ usuniętego kanclerza pruskiego. Napada on ciągle na Austryą, z którą dzisiejszy rząd niemiecki chce żyć w przyjaźni i utrzymać zawarte dawniej przymierze. Otóż ta hamburgska gazeta radzi, żeby Niemcy zerwały z Austryą i zawiązały przyjaźń i sojusz z Rosyą. Austrya, według tej gazety, na nic się nie zda Niemcom, wojsko jej bardzo liche, narody jej, głównie Słowianie, nie cierpią jej, i oderwą się od niej, skoro tylko Austryi noga się pośliźnie. Patrzcie jeno, pisze dalej ta gazeta, co to się dzieje w Czechach, w ich stołecznem mieście Pradze! Tam na wystawę przyjechali studenci francuscy, a Czesi wołają: precz z Niemcami, niech żyje Francya! Więc czyż na tak osłabionem, niezgodnem w sobie państwie austryackiem można coś budować i od niego czegoś się spodziewać w razie, gdyby wojna wybuchła, a Francya i Rosya uderzyła na Niemcy? Książę Bismark to był mądry polityk. On to umiał manewrować, trzymał w ręku dwa sznury, jednym trzymał w ręku Austryą, a drugim Rosyą; żył w przyjaźni z Austryą, a nie zrywał z jej nieprzyjaciółką Rosyą. Dziś jeden sznur rozcięto, wypowiedziano przyjaźń Rosyi tak, że pozostał jeden tylko przyjaciel słaby, do niczego. Na to odpowiadają inne gazety niemieckie Bismarkowi: A toś ty przecie sam pierwszy tę przyjaźń i przymierze zawarł z Austryą. Tyś pojechał osobiście do Wiednia i tam z ministrami spisałeś warunki tego przymierza. Kiedyś stał u steru rządu, to krzyżowałeś i niszczyłeś postępy polityki rosyjskiej i wszystkim gazetom kazałeś ostro występować przeciw Rosyi. Zkąd wzięła się u ciebie taka nagła zmiana? Wiemy dlaczego. Oto podkopujesz dzisiejszy rząd, ministrów dzisiejszych uważasz za nieudolnych, chciałbyś, żeby cesarz ich pousuwał i tobie znowu oddał rządy w ręce. Z tej mąki jednak chleba nie będzie. Dzisiaj Niemcy wiedzą, że chęć panowania i pycha tobą kierują, a Austrya jest silna i przyjaźń z nią wiele warta.

Rosya. Wiadomo, że gdy carewicz rosyjski w podróży swojej naokoło świata przybył do Japonii, zrobiono tamże na niego zamach. Ażeby się za to zemścić na Japończykach, radzą gazety rosyjskie, aby rząd rozpoczął prześladowanie tak zwanych „budystów“, znajdujących się w Syberyi, (są to wyznawcy pogańskiej religii, założonej jeszcze przed Chrystusem). Gazety rosyjskie utrzymują, że nienawiść budystów, znajdujących się w Japonii, do Rosyan, była przyczyną zamachu na carewicza. Tak tedy niebawem rozpocznie rząd rosyjski zapewne nowe prześladowania.

Rząd rosyjski uczynił nowy zamach na katolików bo ogłosił, że jeżeli prawosławny lub prawosławna wstępują w związki małżeńskie z katolikiem lub katoliczką to nie potrzebują ogłaszać zapowiedzi w kościele katolickim, a ślub brać mają tylko w kościele prawosławnym. Oto to jest ta wolność kościoła katolickiego w Rosyi, o której zawsze tak piszą Moskale. Nietylko katolików Polaków prześladują, ale nawet wszystkim innym katolikom ich najświętsze prawa odbierają.

Emigracya Żydów z Rosyi do Argientyny już się rozpoczęła. Od paru tygodni przybywa codzień do Torunia kilkadziesiąt rodzin żydowskich, które jadą do tego kraju za pieniądze Hirsza. Po głównych stacyach oczekują ich ajenci i dają im zadarmo jedzenie, napitek i czystą odzież, — ale przedtem każdy wykąpać się musi. Już w zeszłym roku wyjechała komisya wydelegowana przez Hirsza do Argentyny, aby zakupić wielką ilość ziemi. Znalazła tam już kolonią żydowską złożoną z 400 osób, którym się dobrze powodziło. A więc nie namyślając się kupić baron Hirsz 370 mil kwadratowych ziemi, bo też tam i ziemia bardzo mało kosztuje. Pierwsze rodziny żydowskie jakie przyjadą, otrzymają już gotowe budynki mieszkalne i gospodarskie, a ci co się spóźnią, będą musieli sobie sami budynki stawiać. Na tej przestrzeni ziemi będzie można pomieścić 160.000 rodzin żydowskich, a licząc, że każda rodzina przeciętciowo składa się z 6 ciu do 8-miu osób, doczekać się może Argentyna całego miliona żydów, czego jej zapewne nikt zazdrościć nie będzie. Koloniści z początku przez pierwsze trzy lata będą korzystali z ziemi bezpłatnie, później jednak będą płacili czynsz dzierżawny „Towarzystwu kolonizacyi żydów“ które będzie właścicielem ziemi. Wolno jednak będzie żydom kupować sobie ziemię na własność, a pieniądze jakie z tego wpłyną obracane będą na zakupno nowej ziemi, bo baron Hirsz i w innych stronach świata chce zakładać kolonije żydowskie.

Włochy. Minister włoski Rudini powiedział na posiedzeniu włoskiego senatu, że Włochy dążą do ustalenia pokoju i dlatego też niedawno odnowiły umowę z Niemcami i Austryą co do wspólnej obrony. Oświadczenie to Rudiniego wywołało ogromne wrażenie w całej Europie, bo wiedziano, że tak zwane potrójne przymierze austryacko-niemiecko-włoskie w tych czasach się kończy, a nikt nie mógł wiedzieć, czy te państwa dalej będą szły ze sobą. Tymczasem Rudini ogłosił publicznie, że przymierze na dłuższy przeciąg czasu zostało odnowione i że nawet wzmocniono je nowemi zobowiązaniami.

Jednocześnie donoszą z Hamburga, że cesarz niemiecki wyjeżdżając z tego miasta do Anglii, wyraził w rozmowie z prezydentem towarzystwa okrętowego swoją radość, że przymierze zostało na sześć lat odnowione. A nie należy i o tem zapominać, o czem już pisaliśmy w Krakusie, że Anglia zawarła na swoją rękę przymierze z Włochami. Teraz cesarz niemiecki znajduje się w Anglii, gdzie jest bardzo uroczyście przyjmowany. Nie potrzeba więc być ani prorokiem, ani wielkim politykiem, żeby domyśleć się, że pomiędzy Anglią a Niemcami jest także porozumienie. Jak takie cztery mocarstwa jak Anglia, Włochy, Austrya i Niemcy są ze sobą związane, to trudno przypuszczać aby je kto śmiał zaczepić, — i dlatego też, o ile zwykłym rozumem sądzić można, pokój w Europie przynajmniej na sześć lat jest zapewniony.

Serbia. Z powodu napadów arnautów na chrześcijan zamieszkałych w Starej Serbii, prowincyi tureckiej, przytykającej do królestwa Serbskiego, rząd serbski zaczął gromadzić wojsko na granicy, aby wkroczyć do do tej prowincyi i zająć ją aż do czasu przywrócenia porządku, gdyby napady znów się powtórzyły. Rząd zaś turecki obawiając się zajęcia Starej Serbii przez Serbów, powołał pod broń żołnierzy, którzy byli rozpuszczeni do domów.

Afryka. Kongo. W Afryce istnieje państwo Kongo, którego królem jest król belgijski. Otóż niedawno jeden pułkownik amerykański Wiljams, murzyn, ogłosił w gazetach list do króla belgijskiego. W liście tym Wiljams powiada, że urzędnicy królewscy z Kongo zawierają umowy z handlarzami niewolników, pozwalają im łapać na sprzedaż ludzi, zwłaszcza dziewczęta; że popełniają wiele morderstw; że nie płacą wojsku, sobie zabierając przeznaczone dla niego pieniądze, żołnierzom zaś pozwalają rabować i mordować murzynów. W mieście belgijskiem Antwerpii sąd bada teraz sprawę dwóch takich oficerów, a zarazem urzędników z Kongo, którzy się wzajemnie oskarżają o handel niewolnikami i morderstwa.

— *Kamerun.* Kraina ta afrykańska należy do Niemiec. Przed niedawnym czasem Niemcy wysłali w głąb Kamerunu wyprawę, którą jednak mieszkańcy tamtejsi pobili. Teraz wysyłają znowu drugą wyprawę z 1.300 ludzi, aby się zemścić na mieszkańcach.

Rady gospodarskie.

O chwili stosownej do rozpoczęcia żniwa.

W obawie uszczuplenia zbioru w ziarnie, wyczekujemy zwykle z rozpoczęciem żniwa dłużej, aniżeli wymaga tego rzeczywista potrzeba. Nawet ci, których do przyspieszenia zbioru znagla na przednówku brak zapasów mąki, ograniczają się na wcześniejszem ścięciu małej tylko części zboża, pozostawiając resztę aż do zupełnego dojrzenia i stwardnięcia ziarn.

Z wyjątkiem jednak owej ilości zboża, która przeznaczoną jest do dostarczenia nasienia do siewu, wyczekiwanie to nietylko że nie jest potrzebne, ale z wielu względów szkodliwe, gdyż ziarno zboża, zebranego przed zupełnem dojrzeniem, daje piękniejszą mąkę i ma ładniejszy połysk, wskutek czego jest pokupniejsze, czyli uzyskuje wyższą przy sprzedaży cenę, aniżeli zboże zebrane w stanie przejrzałym.

Oprócz tego ziarno bardzo dojrzałe wypada łatwiej z kłosów, szczególnie w czasie wiązania, znoszenia i podawania snopów na wozy, ponosimy więc w zbiorze

straty bardzo znaczne, o czem najłatwiej przekonać się możemy, gdy odmierzymy 1 sążeń kwadratowy ścierni i pozbieramy zaraz po żniwie wszystkie, leżące na tej przestrzeni ziarnka, które wypadły z kłosów. Jeżeli wynosić one będą na owym sążniu kwadratowym jednę ćwierć kwaterki, to strata na całym morgu równać się będzie 25 garncom, zatem ilości mało co mniejszej jak potrzeba do obsiania 1 morga pszenicą. Często jednak ilość owych opadniętych ziarnek jest znacznie większą, lecz zwykle nie zdajemy sobie z tego rachunku, jak również nie wierzymy, ażeby mąka ze zboża dojrzałego mogła być mniej piękną i dobrą, aniżeli ze zboża zebranego przed zupełnem dojrzeniem ziarna. Zapytajmy jednak zdania młynarzy i piekarzy, a przekonamy się iż tak jest rzeczywiście.

Również i słoma zboża przejrzałego ma mniejszą już wartość jako pasza, gdyż jest znacznie twardszą, mniej smaczną i mniej pożywną.

Uwagi powyższe nie powinny jednak zachęcać do zbierania zboża w stanie zielonym przed należytem wypełnieniem się ziarna, lecz dowodzą jedynie, że możemy i powinniśmy uczynić to przed ostatecznem jego dojrzeniem, które nie potrzebuje odbywać się na pniu, lecz uzupełnia się w kłosach roślin po odcięciu źdźbeł od ich korzeni i przy nieco dłuższem pozostawaniu na pokosach lub w snopach złożonych w kupy.

Najodpowiedniejsza chwila do rozpoczęcia żniwa zboża kłosowego jest wtedy, gdy ziarnko, wyjęte z kłosa podobnego pod względem dojrzałości do większości roślin znajdujących się na tem samem polu, po rozciśnięciu go w palcach nie wykaże już płynu rzadkiego, lecz masę miękką i lepką, mającą podobieństwo do świeżego ciasta. Nie należy przy tej próbie zważać na niewielką ilość roślin zielonych, rosnących przy miedzach lub na środku bruzd, gdyż przed ich zżółknięciem większa ilość kłosów przekroczyłaby pożądaną miarę dojrzałości.

Szczególnie żniwo żyta może być rozpoczętem bez obawy o kilka dni wcześniej, aniżeli to jest w zwyczaju, szczególnie zaś tych odmian zagranicznych, których ziarnka osadzone są w kłosie bardzo słabo i wypadają z łatwością. Żyto polskie nie ma tej wady i w razie potrzeby, n. p. przy pilnem zbiorze pszenicy, może być pozostawione dłuższy czas na pniu bez obawy wykruszenia się ziarna.

Pszenica potrzebuje nieco większego stopnia dojrzenia, w każdym jednak razie nie trzeba wyczekiwać stwardnięcia ziarna, gdyż w takim razie kupcy powiadają, iż nie ma koloru i płacą za nią taniej.

U jęczmienia kłosy po zupełnem dojrzeniu przeginają się na dół i odpadają łatwo przy koszeniu lub wiązaniu, wskutek czego powstają straty bardzo znaczne.

Najwięcej ziarna opada wskutek zbytecznego opóźnienia się żniwa owsa, które spowodowane bywa czasem niemożnością pospieszenia się ze zbiorem dojrzewającego już ogólnie zboża, często jednak dopuszczane bywa umyślnie w przeświadczeniu, iż owies dobrze dojrzały omłóca się znacznie dokładniej. Nie można zaprzeczyć, iż tak jest rzeczywiście, lecz mniejsza jest strata, jeżeli pewna ilość ziarnek pozostanie w słomie po omłocie, gdyż spożytkowaną zostanie przez zwierzęta domowe, którym słomę tę damy jako paszę, aniżeli gdy po zbytecznem dojrzeniu owsa okruszy się na każdym morgu parę korcy nasienia, jak to nieraz spostrzegamy przy wczesnem spokładaniu ścierni, która okrywa się tak gęstą zielonością, jakby pole było świeżo obsiane. Przy zbytecznie spóźnionym zbiorze tracimy co najmniej parę korcy owsa, co przy wysokich obecnie cenach jego, nie jest rzeczą małej wagi.

Zbiór grochu i bobiku powinien nastąpić w chwili gdy większość strączków ma kolor ciemny. Przy dłuższem pozostawieniu tych roślin na pniu, znaczna ilość owych nieco wcześniej dojrzewających u dołu strączków popęka i utraci swe ziarna.

Zbiór koniczyny (drugiego pokosu) na nasienie stosować się musi również do chwili, w której większa połowa główek ma kolor czarny i ziarno w nich jest twarde. Przy wyczekiwaniu aż wszystkie zczernieją, znaczna ich cześć opadnie, przy zebraniu zaś przedwczesnem ziarnka będą drobne bez pożądanego koloru fioletowego i nie wszystkie powschodzą.

Odmiennie postępować należy przy zbieraniu zboża kłosowego w celu użycia jego ziarna jako nasienia. W takim wypadku wyczekiwać należy, ażeby dojrzało ono zupełnie, gdyż wtedy siła kiełkowania ziarnek będzie pewniejsza i wschodzenie roślin jednostajniejsze. Niektórzy utrzymują nawet, iż zarodki śnieci, która ukazuje się często na przenicy, nie mogą zapuścić swych korzonków w ziarnka stwardniałe przy zupełnem dojrzeniu, wskutek czego można pozbyć się jej przy następnym siewie tegoż nasienia, jeżeli rola jest dostatecznie odleżała i nie osłabi wzrostu roślin przez przerywanie jej korzonków przy następnem osiadaniu ziemi. Chorowity stan każdego zboża, który spowodowany jest czy to uszkodzeniem korzeni, czy brakiem pożywienia w ziemi, czy też nareszcie, o co nam obecnie chodzi, nasieniem nie dosyć dojrzałem, ułatwia krzewienie się na niem wszelkiej zarazy.

A. Lippoman.

NOWINY.

— Piszą do nas z miasta Opola na Szląsku pruskim:

„Kto znał lud szląski jeszcze przed dwudziestu laty i patrzał na obojętność tego ludu względem narodowości polskiej, ten dziś zupełnie zmienioną postać Górnego Szląska zaledwie rozpoznaje. Kiedy dawniej

tylko tu i owdzie we wsi lub w mieście zamożniejszy obywatel czytywał pismo polskie i czuł się Polakiem, dziś ruch narodowy owładnął wszystkie stany. Tak bowiem robotnik, jak i zamożny gospodarz szląski, czuje się Polakiem i z radością, z własnej pobudki wypełnia narodowe obowiązki, dobrowolnie na siebie włożone i nie pozwala się już zbić tem z toru, że Niemiec szląski w ślepej nienawiści ku żywiołowi polskiemu i ku wszystkiemu temu, co polskie, z pogardą się wyraża o języku polskim, jak o języku niższym. Kiedy dawniej na Szląsku ten tylko mówił po polsku, kto po niemiecku nie umiał, dziś mówią Szlązacy po polsku, choć po niemiecku umieją, bo język polski stał się dla nich drogim. Z prawdziwą przyjemnością można stwierdzić, że Szlązak prędko pozbywa się wyrazów niemieckich, które wskutek ciągłej styczności z Niemcami wkradły się w używanie i zastępuje je wyrazami polskiemi, skoro się tylko o nich dowie. Dobrze redagowane pismo polskie, dalej Towarzystwa polskie, w których przemawiają Szlązacy, czytający wiele po polsku; kazania, wygłaszane przez księży tych, którzy dobrze polskim językiem władają, a których tu mamy coraz więcej, oddziaływają bardzo korzystnie na język ludu szląskiego, bo przyczyniają się do oczyszczenia tegoż języka z wpływów niemczyzny. Prawdą też jest, że dopiero przez słowo żywe, przez mowę wypowiedzianą przez Polaka, poznaje Szlązak piękności polskiej mowy i zapewne tym tylko sposobem można sobie wytłómaczyć ów zachwyt i uwielbienie Szlązaków, jakie objawiają, przysłuchując się Polakom dobrze po polsku mówiącym. Jeszcze większy wpływ wywierają na umysł i serce Szlązaka pieśni polskie, których bardzo szybko i z wielką radością się uczą. Że sposobność ku temu wszystkiemu znajdują tylko w Towarzystwach, bo tutaj zawsze się ktoś znajdzie, co piosenkę polską zaśpiewać potrafi i innych śpiewać nauczy, przeto oczywistą jest rzeczą, jak wielkie dla nas znaczenie Towarzystwa takie posiadają.

W niedzielę zeszłą mieliśmy też tutaj zgromadzenie naszego Towarzystwa polsko-katolickiego. Przysłuchując się pięknym przemowom Szlązaków, odzywających się w sposób prosty, ale serdeczny, śpiewających pieśni ojczyste, niepodobna oprzeć się najgłębszemu wzruszeniu.

Zasługuje też na uwagę i okoliczność, że zamiłowanie i zapał do spraw ojczystych ogarnął wszystkich Szlązaków: stare i młode pokolenie. Nawet kobiety szląskie doskonale pojmują o co rzecz idzie i są pomiędzy niemi tak dzielne niewiasty, że niemi Szląsk mógłby się pochlubić. Pomiędzy wiejskiemi gospodyniami są nawet takie, co wcale niezłe piszą do pism szląskich artykuły. Faktem też jest, że kobiety czytają i same abonują pisma polskie i przyczyniają się do rozszerzania tych pism."

Rozmaitości.

Zabawne zdarzenie. W pewnem mieście mieszka rodzina cudzoziemców, grajków, składająca się z rodziców, trzech córek i syna. Zarabiają oni na życie grywając po szynkach i nieraz po północy dopiero do domu wracają. Raz, gdy zabierali się do spoczynku, któraś z córek ścieląc łóżka krzyknęła, że pod siennikiem szczur siedzi. Na te słowa najmłodsza dalej w płacz, a druga skoczyła ze strachu na stół i otuliła nogi suknią. Chłopiec zaczął wołać, żeby siostra nie wypuściła szczura z pod siennika, matka znów woła, żeby chłopiec wziął szczypce od samowara i zabił szkaradne stworzenie. Ojciec nadbiega z butem chcąc złapać szczura w cholewę. Zrobił się straszny hałas. Wszyscy krzyczą: trzymaj! zabij! Stancyja grajków oddzielona jest od innych mieszkań cienkiemi ścianami z desek. Nic więc dziwnego, że sąsiedzi zbudzeni wrzawą myśleli, że do grajków zakradli się złodzieje. Wszyscy się powystraszali. Kobiety zaczęły płakać. Wreszcie najodważniejszy z sąsiadów pobiegł na ratunek. Dowiedziawszy się o co chodzi, podnosi raptem siennik, i znajduje — nie szczura, tylko kłębek bawełny.

Niestrudzonym mówcą jest podobno teraźniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Harrison. Podczas ostatniej swojej podróży w Stanach wygłosił on podobno nie mniej, jak 179 większych mów, nie wliczając w to drobnych przemówień przy rozmaitych sposobnościach. Na przyszły rok przypadają nowe wybory prezydenta, a ponieważ każdy ma swoich nieprzyjaciół, więc pewna gazeta amerykańska napisała: „To wszystko nic nie pomoże; chociażby Harrison był podczas swojej podróży nawet 200 mów wygłosił — wybierać go i tak nie będziemy".

Dziwny wypadek zdarzył się u gospodarza Michasiaka, zamieszkałego na Bałutach pod miastem Łodzią. Oto szczury zagryzły nocą w obórce kilkudniowe cielę.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 30 czerwca.

Płacono za pszenicę białą od 10.55 do 11.— zlr. za czerwoną od 10.40 do 10.90 zlr., za żółtą od 10.35 do 10.90 zlr.; za żyto od 7.25 do 7.80 zlr.; za jęczmień browarny od 7.— do 7.50 zlr.; na paszę od 6.— do 6.75 zlr.; za owies od 7.— do 7.20 zlr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką".

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.